

STUCK *with you*

Utknęli ze sobą w windzie, w bloku i w... związku?



AGATA POLTE



AGATA POLTE

STUCK
with you

Copyright © 2024
Agata Polte
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Kamila Reclaw

Korekta:

Sara Szulc

Karolina Piekarska

Joanna Boguszewska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek


Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-430-3

Dla wszystkich, którzy czasem gubią siebie w chaosie życia i narzuconych oczekiwań. Nie podporządkowujcie się czyimś zasadom, tylko twórzcie własne. I pamiętajcie, żeby od czasu do czasu oddychać.



Prolog

Rok wcześniej

Gdyby ktoś poprosił o wymienienie top trzech najgorszych dni w moim życiu, ten poniedziałek zdecydowanie by się wśród nich znalazł. Takiego stężenia pecha nie doświadczyłam nigdy wcześniej, a najgorsze jest to, że niedzwoniący budzik i zepsuta suszarka miały okazać się zaledwie początkiem.

– Niech pan zatrzyma windę! – krzyczę, gdy po wyjściu z mieszkania dostrzegam, że jej drzwi niemal się zasuwały.

W środku stoi jedynie elegancko ubrany facet, którego widzę po raz pierwszy w życiu. Od razu domyślam się, że musi być moim nowym sąsiadem z naprzeciwka, który wprowadził się parę dni temu. Nie miałam jeszcze okazji go poznać, bo przez trwające egzaminy jestem kłębkim nerwów i nie wiem, co się dzieje przez mniej więcej dwadzieścia godzin dziennie. Pozosta-

łe cztery poświęcam na nerwowe myślenie o tym, że obleję drugi rok studiów. I na sen.

– Strasznie przepraszam, bo pewnie pan też się spieszy, ale ja mam zaraz egzamin, a budzik mi nie zadzwonił i jeszcze moja suszarka postanowiła dokonać żywota, dlatego mam mokre włosy... – tłumaczę pospiesznie, zamykając szybko drzwi mieszkania.

To trudne, gdy trzęsie mi się dłoń, a nie mogę sobie pomóc drugą, ponieważ mam w niej kubek termiczny z kawą. Nie zdążyłam nic zjeść, więc to mój jedyny ratunek na kolejne kilka godzin. Na szczęście jednak udaje mi się przekręcić klucz, dlatego wrzucam go do torebki przewieszanej przez ramię i ruszam prędko do znajdującej się kilkanaście kroków dalej windy. Sąsiad naprawdę trzyma jej drzwi, za co posyłam mu pełen wdzięczności uśmiech, stukając szpilkami o podłogę. Nie cierpię chodzić w tak wysokich butach, tyle że Pam, moja przyjaciółka, która mieszka piętro niżej, zarzekła się, że przynioszą szczęście, więc je od niej pożyczyłam.

– Bardzo dziękuję – rzucam do ciemnowłosego mężczyzny, który obserwuje w milczeniu moje niezdarne próby dotarcia do tej cholernej windy.

Mam nadzieję, że nie rumienię się jak wariatka, ale, rany, dopiero kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam jego oczy. Ciemne, głębokie, brązowe oczy, które skupiają się na mnie w pełni i sprawiają, że robi mi się gorąco. W dodatku w połączeniu z opaloną skórą nieznajomego, długimi ciemnymi rzęsami i czarnymi włosami dają porażający efekt. Palpitacje moich palpacji dostają palpacji serca na ten widok. Naprawdę.

– Ja... Przy okazji dzień dobry – udaje mi się powiedzieć. – Jestem Camille. Camille Daisy Harfo...

Nie kończę. Ten dzień i pieprzone szczęśliwe buty Pam postanawiają sobie ze mnie zakpić po raz kolejny, ponieważ tuż przed samą windą stawiam źle stopę, potykam się i lecę do przodu.

Sąsiadowi nie udaje się uciec, kiedy dosłownie padam przed nim na kolana. Może być gorzej? Pewnie, że tak. Bo kubek termiczny, który trzymam w dłoni, okazuje się otwarty i sekundę później słyszę głośny syk bólu.

To się nie dzieje naprawdę.

Przecież ja właśnie nie upadłam w wejściu do windy przed nieznanym facetem i nie wylałam mu kawy na ten dobrze skrojony garnitur. Nie. To się nie wydarzyło.

A przynajmniej tak sobie wmawiam, póki nie unoszę głowy i nie dostrzegam od razu, jak mężczyzna chwyta swoje spodnie i odsuwa je od krocza, krzywiąc się mocno. Zamieram wtedy. Moje serce chyba staje. Oficjalny czas zgonu cholernej Cami Harford: siódma dwadzieścia dziewięć.

– P-przepraszam – wyduszam, mozolnie wstając. Przez dopasowaną spódnicę to okazuje się kolejnym karkołomnym wysiłkiem, jednak w końcu się udaje, więc nie zwracam uwagi na obite dłonie i kolana, tylko podchodzę do sąsiada. – Tak strasznie pana przepraszam, ja... Ten dzień to jakaś katastrofa. Zapłacę za czyszczenie i... i ja...

Wyciągam dłonie, jakbym chciała mu pomóc, ale w ostatniej chwili powstrzymuję się przynajmniej przed tym. Zrobiłam niesamowite pierwsze wrażenie, oblewając kawą tego kolesia. Ma mokrą koszulę i spodnie, a ja w dodatku próbuję dotykać go tam, gdzie zdecydowanie nie powinnam. Kompletnie mi odbija.

– Dobrze, że nie była gorąca, bo zdążyła wystygnąć, gdy się szykowałam. Mam nadzieję, że nie... nie boli i...

– Czy możesz – przerywa, odzywając się po raz pierwszy, na co od razu milknę. Jego głos jest dokładnie taki, jak można by sobie wyobrazić. Niski, melodyjny, bardzo przyjemny dla ucha. Tyle że pobrzmiewa w nim złość. – Czy możesz przez chwilę być cicho i zatrzy...

Drzwi windy za moimi plecami właśnie się zamykają, więc przemyka oczy. Odwracam się jeszcze szybko i zaczynam de-

speracko wciskać przycisk otwierania, jednak to niczego nie daje. Ruszamy w dół. Ja, stojąc niezręcznie i prawie na granicy płaczu z nerwów, i on, trzymając te spodnie oraz koszulę. Wygląda, jakby mógł w każdym momencie wybuchnąć.

– Przepraszam – szepczę ponownie, zbierając z podłogi kubek. Poprawiam torebkę, upewniam się, że się nie ubrudziłam, a później biorę głęboki wdech. Wypadek wypadkiem, ale muszę dotrzeć na egzamin. Odsuwam z twarzy brązowe kosmyki, które wysunęły się z koka, i się prostuję. – Bardzo przepraszam.

Mężczyzna milczy, a winda w tym czasie zatrzymuje się z dziwnym zgrzytem. Otwieram usta, by jeszcze raz przeprosić i uciec, bo myślę, że dotarliśmy na dół, jednak gdy spoglądam na wyświetlane piętra, marszczę brwi. Tablica nie działa.

– C-co... Ona chyba nie...

– Stała – mówi grobowym tonem mężczyzna.

Patrzę na niego z przerażeniem. Jego twarz nie wyraża zupełnie niczego, ale w oczach, tych pięknych brązowych oczach dostrzegam chęć mordy i pytanie, za jakie grzechy spotkało go to wszystko.

– Jak my się stąd wydostaniemy? – szepczę.

– Oby jak najszybciej – odpowiada, po czym podchodzi z westchnieniem do panelu.

Przetykam z trudem ślinę, uświadamiając sobie, że nie mam szans dotrzeć na egzamin, jeśli nie wydostanę się z tej windy w ciągu kolejnych pięciu minut, na co się nie zanosi. W dodatku utknęłam tu z mężczyzną, który z pewnością szczerze mnie już nienawidzi, chociaż nie poznał jeszcze mojego pełnego nazwiska.

Tak. Zdecydowanie top trzy najgorszych dni w moim życiu.



Rozdział 1

Teraz

Poniedziałek to najgorszy dzień, jaki istnieje. Nie wiem, czemu jeszcze oficjalnie go nie zakazano, ale ktoś serio powinien się tym zająć. Przecież został wymyślony tylko po to, by gnębić wszystkich tym, że zjawia się po weekendzie. Kończy miłe, wolne dni i to w jaki sposób? Zawsze w ten sam już od roku. Identyczny scenariusz co tydzień rano około siódmej trzydzieści: ja wybierająca w pośpiechu z mieszkania i kierująca się do windy, której drzwi zamykają się zazwyczaj idealnie w momencie, kiedy się odwracam i napotykam spojrzenie swojego sąsiada.

Nie poproszę go nigdy więcej o to, żeby zatrzymał windę. Nie ma mowy.

Przekręcam klucz w zamku, mamrocząc pod nosem przekleństwa, po czym ruszam na schody. Ostatecznie szybciej po nich zejść, niż winda wtoczy się znów na piąte piętro. Poza tym,

szczerze mówiąc, od tamtego incydentu sprzed niemal roku, nie mam zaufania do tego cholerstwa. Zostałam uwięziona w środku z milczącym, wściekłym Tannerem Allardem, jak się później dowiedziałam, na całe pięćdziesiąt trzy minuty.

Pięćdziesiąt trzy minuty piekła.

Nie pamiętam, ile razy powtórzyłam wtedy „przepraszam”. I zaproponowałam zwrot za pralnię. I spytałam, czy nie potrafi czasami wspinać się po linach w szybie windy, jak widziałam w filmach. Nawet się nie uśmiechnął. A to było całkiem poważne pytanie, bo pod jego białą koszulą rysowały się naprawdę niezłe mięśnie. Każdy na moim miejscu by spytał.

Wzdycham, zbiegając lekko po schodach. Nie jestem w ogóle pewna, czy ten facet potrafi się uśmiechać. Co z tego, że jest przystojny i ma niesamowite oczy? Zawsze, kiedy na mnie patrzy, przybiera tę pokerową minę, która serio wkurza. Ale przestałam się już tym przejmować. Kilka innych incydentów zresztą pomogło.

Na przykład ten, gdy poszłam do Allarda następnego dnia po naszym niefortunnym spotkaniu. Byłam nieco podłamana, bo nie zdażyłam na egzamin i musiałam go powtarzać za jakiś czas, w dodatku czułam się głupio, jednak upiekłam dla niego moje popisowe truskawkowe babeczki na przeprosiny. Chciałam zacząć od nowa, poznać go i jeszcze raz przeprosić. A ten dupek nawet nie wpuścił mnie do mieszkania, wpatrywał się w milczeniu w moją twarz, kiedy mówiłam coraz bardziej nerwowo o nowych początkach i byciu pechowcem, a na końcu jedynie podziękował, przyjął słodycze i zniknął za drzwiami. Co było w tym najgorsze? Że następnego dnia widziałam moje wspianiałe babeczki w koszu na śmieci.

Skończony dupek.

Skoro ich nie chciał, mógł ich nie przyjąć.

Wiem, że miał prawo być na mnie zły, zwłaszcza że to utknięcie w windzie z mokrymi spodniami odbiło się echem w całym

naszym bloku. Może i mieszkamy w Bostonie, gdzie każdy zajmuje się swoim życiem i ma innych gdzieś, ale w tym budynku wszyscy lokatorzy świetnie się znają. Tworzymy tu małą wspólnotę, głównie za sprawą pani Swan mieszkającej na pierwszym piętrze. Jest właścicielką tego bloku, starszą kobietą i dla każdego nowego lokatora urządza przyjęcie powitalne na dachu. Mamy fajną przestrzeń na takie imprezy, lubię tam przesiadywać, zresztą jak niemal wszyscy sąsiedzi. Dzięki temu często na siebie wpadamy, rozmawiamy i po prostu się poznajemy. Cóż, wszyscy z wyjątkiem Allarda, który nawet z zabawy na swoją cześć zmył się po kilku minutach.

Ale nie na tyle szybko, bym nie usłyszała tego, co mówił o mnie jednemu z sąsiadów z ósmego piętra. To drugi powód, dla którego dałam sobie spokój z próbami zaprzyjaźnienia się z tym facetem. Nazwał mnie wtedy głośną, niepotrafiącą ustać w ciszy niezdarą. Może i nią byłam, jednak to nie powód, żeby mnie obgadywał za plecami.

Dlatego tak. Po tym postanowiłam, że będę unikać Tannera Allarda, jak tylko mogę. Tyle że to trudne, skoro mieszka naprzeciwko. Niemal codziennie go widuję. Jeśli nie w bloku, to w kawiarni za rogiem, w której pracuję, bo uwielbia tam przychodzić popołudniami. Nie dziwię się, to serio fajny lokal i serwujemy niesamowite desery. Irytuje mnie to tylko dlatego, że kiedy jestem sama na zmianie i muszę go obsłużyć, zawsze zamawia kawę, po czym oznajmia z sugestywną miną, że mogę ją zostawić przy kasie i zawołać, a on sam ją sobie przyniesie. Innym kelnerkom tego nie robi. *Kretyn*.

Otrząsam się z tych myśli, gdy docieram w końcu na podziemny parking. Auto Allarda znika właśnie w bramie, na co odycham z ulgą. Zawsze ogromnie się stresuje, kiedy muszę wyjeżdżać swoim małym chevroletem, a jego duży, czarny, lśniący samochód stoi tuż obok. Nasze miejsca parkingowe ze sobą sąsiadują i znajdują się między dwiema kolumnami, które oddzie-

lają je od innych. Gdybym zarysowała mu to cacko, z pewnością od razu wiedziałby, kto jest winny. Tylko tego by mi brakowało.

– Hej, Cami! – słyszę nagle z prawej znajomy głos.

Odwracam się, szukając w torebce kluczy, i posyłam szybki uśmiech Ronowi, sąsiadowi z czwartego piętra. Jak zawsze ma na sobie strój do joggingu, jest nieco zaczerwieniony, a jego brązowe loczki są zmierzwiłone wiatrem. I jak zawsze w poniedziałek o tej godzinie wchodzi do budynku przez garaż, zamiast głównym wejściem. Obawiam się, że to z mojego powodu.

– Hej, Ron – odpieram. – Jak leci?

Jest ode mnie starszy o trzy lata i pracuje w jakiejś firmie marketingowej. Namawiał mnie nawet, żebym próbowała dostać się na staż właśnie tam, bo potrzebują ludzi z lekkim piórem i poczuciem humoru jak moje, a on mógłby zostać moim mentorem. Obiecałam mu, że to plan B, jeśli nie uda mi się ze stażem w „The Real Boston”, choć tak naprawdę nie rozważam tego nawet jako opcji Z. Ale Ron to fajny facet i pomógł mi kiedyś z samochodem, więc chciałam być miła.

– Wracam właśnie z joggingu – odzywa się, akurat gdy zaciskam palce na kluczykach. – Super pogoda dzisiaj.

Kiwam głową.

– Podziwiam, że masz siły z rana biegać – mówię całkiem szczerze, otwierając auto. – Ja nigdy nie daję rady zwlec się z łóżka od razu po dźwięku budzika.

Mężczyzna podchodzi bliżej.

– Może potrzebujesz po prostu motywacji i towarzystwa – odpowiada. – W razie czego służę pomocą. Wiesz, że naprzeciwno otworzyli wreszcie tę nową siłownię? Może wybierzemy się tam razem któregoś dnia?

Mój telefon zaczyna dzwonić.

Uratowana przez komórkę.

Posyłam Ronowi przepaszające spojrzenie.

– Wybacz, muszę to odebrać – rzucam. – I trochę się spieszę, mam zaraz egzamin. Pogadamy następnym razem, okay?

Nie protestuję, więc wsuwam się na siedzenie kierowcy i odbieram. Dzwoni moja szefowa z portalu lifestyle’owego, na który piszę krótkie artykuły. Tracy mówi o jakimś błędzie serwera, przez który skasował im się mój roboczy tekst zaplanowany na dziś do publikacji. Obiecuję go po południu podesłać ponownie, skoro nie mają żadnej kopii, po czym rozłączam się i zerkam na zegarek.

Wyjeżdżam na zatłoczone ulice, jak zawsze wyrzucając sobie w myślach, że nie wyrobiłam się wcześniej. Mam trochę czasu, jednak chciałam jeszcze powtórzyć coś przed przedostatnim egzaminem w tym semestrze. Za parę dni zmienię się z kłęбка nerwów w spokojną wersję mnie. No chyba że obleję.

Od razu odrzucam od siebie ten głupi pomysł. Przykładam się do nauki, jestem na bieżąco ze wszystkim i naprawdę dobrze sobie radzę. Jakimś cudem godzę pracę na pół etatu ze studiami i kilkoma projektami prowadzonymi w ramach stażu. Pisuję między innymi te krótkie artykuły na lifestyle’owy portal Tracy, a w międzyczasie staram się o letnie praktyki w redakcji jednego z lokalnych czasopism, „The Real Boston”. Serio chciałabym je dostać. Od tego zaczynała moja ciocia, która stała się świetną i rozpoznawalną dziennikarką. Pisała między innymi na temat silnych i odważnych kobiet w biznesie i nie tylko, miała swoją stałą rubrykę, a na kilka miesięcy przed niespodziewanym wypadkiem poprowadziła swój pierwszy program w telewizji. Chociaż od jej śmierci minęło już pięć lat, na samo wspomnienie czuję ukłucie w sercu.

Ciocia była moją bohaterką. W czasie, gdy inne dziewczynki w moim wieku twierdziły, że chcą być księżniczkami, piosenkarkami i astronautkami, ja zawsze mówiłam, że zostanę drugą Daisy Harford. Właśnie po niej noszę swoje drugie imię, które uwielbiam, ona zaraziła mnie zapalem do pisania i zadawania

wielu pytań, zwłaszcza niewygodnych... Dlatego kiedy dowiedziałam się, że zostawiła mi w spadku swoje mieszkanie w Bostonie, bo nie miała innej rodziny oprócz mnie i moich rodziców, nawet nie zastanawiałam się, gdzie chcę się przenieść po liceum i gdzie studiować. Musiałam pójść w ślady mojej chrzestnej.

A więc idę. Próbuję zapracować sobie na sukces, tak jak ona. I choć jestem dopiero na początku długiej, pełnej stresów i przeszkód drogi, zamierzam ją przejść z uniesioną głową. Egzamin, na który jadę, to kolejny stopień do pokonania w czasie wspinaczki po schodach do celu. Wierzę jednak, że się uda.

Powtarzam to sobie w myślach nawet wtedy, kiedy przecniącą od uczelni muszę gwałtownie zahamować, bo na ulicę wbiega mi nagle jakieś dziecko, a auto jadące za mną uderza w tył mojego samochodu.

Jasna cholera. Jak ja nienawidzę poniedziałków.

Do mieszkania wracam dopiero po południu i jestem kompletnie wyczerpana. Choć cudem zdążyłam na egzamin i chyba całkiem nieźle mi poszło, mam do ogarnięcia naprawę samochodu po stłuczce. Staram się jednak odłożyć ten problem na inny dzień, ponieważ dziś muszę powtórzyć jeszcze materiał do ostatniego egzaminu. Ma być najtrudniejszy, więc uczyłam się do niego najwięcej, a mimo to rozgrywam w głowie milion czarnych scenariuszy o tym, jak go oblewam. Typowe obawy dotyczą tego, że się spóźnię, że znowu zatnę się w windzie, że auto nawali, a po nich przychodzą myśli, że może pojawią się pytania, na które zapomnę odpowiedzi, albo okaże się, że nagle zniknęły mi wszystkie długopisy, a nikt nie ma żadnego w zapasie.

Wariuję.

Zdaję sobie z tego sprawę, ale egzaminy wyzwalają w człowieku naprawdę bardzo wiele irracjonalnych strachów. Nie-

wyspanie, ciągle maglowanie materiału i stres nie pomagają. Muszę to jednak przetrwać. To przedostatni rok. Poradzę sobie, a później skończę studia, dostanę pracę i będę spełniać się w tym, co lubię.

Z takim nastawieniem biorę prysznic dla rozluźnienia, a potem przechodzę do kuchni, gdzie w lodówce znajdują pojemnik z zapiekanką ziemniaczaną. Zrywam karteczkę samoprzylepną i uśmiecham się do siebie, czytając wiadomość.

Pewnie znowu zapomniałaś o jedzeniu, ale na szczęście ja pamiętam za nas dwie. Powodzenia jutro, CD.

Parskam krótko. Wiem, że to od Pam, bo jedynie ona ma zapasowe klucze do mojego mieszkania i jedynie ona włożyłaby mi jedzenie do lodówki. No i jedynie ona mówi do mnie czasem „CD”, jakbym była płytą. Oczywiście wzięła ten skrót od inicjałów moich imion, co nie zmienia faktu, że zawsze mnie to rozbawia i irytuje równocześnie.

Zjadam zapiekankę, w duchu wychwalając pod niebiosa to, że przyjaźnię się z Pam, a później wysyłam artykuł Tracy, robię sobie mocną kawę i siadam na podłodze w salonie z rozłożonymi notatkami. Nie jestem zbyt zorganizowaną osobą, więc te są nieco chaotyczne, kolorowe i zawierają mnóstwo skrótów myślowych, jednak ogarniam je jak moją własną kryminalną tablicę z dowodami. Właśnie tak nazywała to zawsze ciocia Daisy, gdy wpadała do rodzinnego domu i widziała, jak się uczę.

Uśmiecham się na to wspomnienie, choć nie daję się rozprościć i skupiam na notatkach. Oczy zamykają mi się same, dlatego popijam kawę i staram się zmusić mózg do współpracy. Odpocznę jutro. Wyśpię się jutro. Ale dzisiaj...

Odwracam głowę w kierunku drzwi, kiedy słyszę jakieś głosy dobiegające z korytarza. To dość dziwne, bo na piątym piętrze oprócz mnie mieszka jedynie Allard, który wydaje się typem

pozbawionym jakichkolwiek znajomych. Właściwie to czasami nachodzą mnie myśli, że albo jest totalnym introwertykiem, albo jakimś seryjniakiem. Zawsze chodzi taki poważny, nigdy się nie uśmiecha, nie zamienia wielu słów z sąsiadami i nie przychodzi na sąsiedzkie imprezy, w dodatku nigdy go nikt nie odwiedzał ani on często nie wychodził. Chyba że po prostu prowadzi nocne życie, a ja mam mocny sen i nie słyszę, jak wymyka się na jakieś przygody po zmroku.

Ta, akurat.

Wracam do nauki, gdy drzwi mieszkania sąsiada zostają zatrzaśnięte i hałasy cichną. Skupiam się na materiale, przeglądam dalej notatki, powtarzam wkute już definicje i lecę od nowa ze wszystkim, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż głowa pęka mi od tych informacji, oczy pieką ze zmęczenia, a trzecia kawa właściwie powoduje większą senność, zamiast jej zapobiegać.

W końcu się poddaję. Odkładam notatki, łapię komórkę i piszę krótkie podziękowania Pam za obiad, po czym kieruję się do sypialni i padam na łóżko. Mimo że tak bardzo pragnę snu, wiercę się w pościeli, nie potrafiąc zmrużyć oka. A kiedy w pewnym momencie zza ściany dobiega mnie nagle głośna muzyka i rozlegają się śmiechy, mam ochotę rwać włosy z głowy.

Zakrywam uszy poduszką, oddycham głęboko i próbuję zasnąć, jednak to na nic. Wciąż słyszę jakieś rozmowy, dudniące basy, a ponad tym wszystkim ktoś skanduje imię mojego sąsiada i zaczyna się kompletne kaleczenie urodzinowej piosenki. Najwidoczniej Allard ma dziś urodziny. Wspaniale.

Staram się zignorować hałasy. Mam nadzieję, że szybko się skończą, ale mija pół godziny, a impreza za ścianą nie ustaje, robi się coraz bardziej wkurzająca. Gdy ktoś jeszcze podgłośnia muzykę, nie wytrzymuję. Wyskakuję z łóżka na granicy płaczu z nerwów i wyczerpania, a później przemierzam szybko mieszkanie i już znajduję się przed drzwiami Allarda.

Uderzam w nie pięściami, aż po korytarzu niesie się echo, na które sama się wzdrygam. Nikt nie odpowiada, dlatego próbuję ponownie, nie planując odpuścić, dopóki ktoś nie otworzy. Wreszcie chyba jakimś cudem zostaję usłyszana, bo piosenka nieco cichnie, a po chwili w wejściu pojawia się Tanner. Na mój widok otwiera usta, jakby chciał się wytłumaczyć, jednak z jego gardła nie wydostaje się żaden dźwięk. Mężczyzna jedynie przesuwa spojrzenie w dół, po całej mojej sylwetce, i odchrząkuje, a ja dopiero wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że wybiegłam z mieszkania w samej cienkiej fioletowej koszulce, w której śpię.

– Ja... Ee... – zaczynam nieporadnie, krzyżując szybko ręce na klatce piersiowej. Rany, jestem kretynką. – Czy mogę pana prosić o...

– Co jest? Policja? – rzuca jakiś mężczyzna, który pojawia się obok Allarda.

Ten nadal wpatruje się we mnie bez słowa, a jakiś kolega opiera się o jego ramię z głupim uśmiechem. Jest ewidentnie pijany. Zresztą Allard chyba też coś już wypił, bo jego oczy dziwacznie błyszczą.

– Bardzo ładna policja – dodaje nieznajomy blondyn. – Może pani...

Tanner zrzuca dłoń kumpla z ramienia i popycha go z powrotem do środka.

– Wracaj do swojej narzeczonej – warczy. Potem koncentruje się znów na mnie, stając w otwartych drzwiach tak, by nikt ze środka mnie nie widział. Robię się przez to jeszcze bardziej czerwona. – Przepraszam. Moi przyjaciele... zapomnieli, że to nie mój blok i są tu inni ludzie. Wprosili się i... Zaraz to wyłączę.

Zagryzam wargi. Chyba po raz pierwszy usłyszałam z jego ust aż tyle słów.

– Byłabym wdzięczna – odpieram. – To znaczy wiem, że jeszcze wcześniej i słyszałam, że to chyba pana urodziny, więc wszystkiego najlepszego i w ogóle, ale mam jutro ostatni egza-

min w semestrze i nie spałam praktycznie od dwóch tygodni, a ta muzyka naprawdę nie pomaga – zaczynam z nerwów mówić coraz szybciej. – Od jutra będzie pan mógł urządzić imprezy nawet na cały blok, jeśli reszta lokatorów nie będzie miała nic przeciwko, ale nie dziś, dobrze? Błagam.

Allard przytakuje krótko.

– Oczywiście. Będziemy ciszej.

Posyłam mu niepewny uśmiech i zaczynam się wycofywać do swojego mieszkania.

– Dzięki. I jeszcze raz sto lat.

Kiwa głową, a ja sięgam już do klamki. Mężczyzna wciąż mnie obserwuje, a przez to jestem boleśnie świadoma tego, że moja koszulka kończy się ledwo za tyłkiem. Dobrze, że przynajmniej nie prześwituje.

– To... Dobranoc – rzucam.

Nie wiem, czy udziela odpowiedzi, bo wchodzę szybko do mieszkania i zamykam drzwi, o które później opieram się plecami. Uderzam potylicą w drewno, wyrzucając sobie w myślach, że jestem skończoną kretynką. Mogłam włożyć szlafrok. Ile razy jeszcze zbłąźnię się przed tym kolesiem, nim umrę z zażenowania?

Wzdycham cicho, po czym marszczę brwi i odwracam się, by wyrzecć przez wizjer. Nie słyszałam trzasku zamykanych drzwi. To pewnie dlatego, że Tanner wciąż stoi w wejściu, wpatrując się w te prowadzące do mojego mieszkania. Może boi się, że zaraz znowu jego głośna niezdarna sąsiadka wyskoczy ze środka i to z kawą.

W końcu jednak wycofuje się, a ja oddycham z ulgą i kieruję się do sypialni. Ale choć dupek z naprzeciwka dotrzymuje słowa i nie słyszę zza ściany żadnej muzyki ani głośnych rozmów, tej nocy już nie zasypiam.